Nr. 4. We Lwowie dnia 22. Stycznia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

WSTĘP.

Niema chyba na całym lądzie naszym drugiego kraju takiego, jak Syberja, któryby mógł dotąd jeszcze dawać temat do wygłaszania zdań najsprzeczniejszych, a pomimo to do pewnego stopnia słusznych. Ze zdaniami rzeczonemi spotykamy się bardzo często wśród publiczności europejskiej; konstatując sam fakt, dziwić się mu atoli nie mamy powodu, gdy zważymy, że miano „Syberja“ jest nazwą zbiorową. Pod nią rozumieją zwykle olbrzymią część lądu azjatyckiego, w którym mieszczą się różnorodne strefy klimatyczne, różne flory i fauny, i różne ludy. Cechą dla nich wspólną jest chyba ta okoliczność, że pozostają pod berłem jednego tronu, i że są rządzone temi samemi prawami — bezprawia — ich wykonawców.

Od Obdorska do Minusińska, od Kołymska dolnego (Niżniekołymsk) do Possietu, mienią tę całą przestrzeń Syberją, nic tedy łatwiejszego. jak znaleźć, na obszarze rzeczonym, wedle upodobania takie barwy i takie cienie, jakie dla danego obrazu uważa się za konieczne, albo przynajmniej za właściwe.

U nas w kraju już sama nazwa Syberja budzi zwykle przykre uczucia, wywołane okolicznością, że od czasu wojen Batorego, a szczególniej od epoki Konfederacji Barskiej, kraj ten służył za miejsce deportacji patrjotów naszych. Pod wpływem tak ujemnego czynnika, jakim jest t. z. „zsyłka“ rządu rosyjskiego, który wpływa wielce niekorzystnie na bezstronność sądu o krajach wygnania i ludach tam zamieszkałych — wytworzył się u nas cały szereg prac literackich, rzec nawet można cała gałęź literatury ojczystej, stanowiącej główne źródło, skąd czerpiemy zwykle wiadomości o Syberji.

Gdybyśmy jechali na wschód wolni, swobodni, nie otoczeni ciągłą opieką barbarzyńską konwojującej siły zbrojnej i zgrai urzędniczej, znaleźlibyśmy tam niezawodnie zamiast barw, jakiemi malują zwykle Syberję, inne farby, mniej ponure i mniej krzyczące, a mianowicie bylibyśmy tam widzieli kraj żyzny, zdrowy, budzący człowieka do silnej, energicznej pracy, bogaty w mnogie dary, jakie natura dzika, surowa, a po części jeszcze dziewicza swym dzieciom słać pod stopy może, ujrzelibyśmy obok jednociągłych, oko nużących stepów. inne także krajobrazy, wielce urozmaicone, to piętrzące się wspaniałymi, górskimi szczytami, o nieprzebranym bogactwie leśnem i mineralnem, to rozścielające się, albo kobiercem różnobarwnym „stepów“ i łąk ukwieconych, albo też równinami i dolinami, o szerokich, bystrych rzekach, olbrzymich jeziorach, obfitujących w rozmaite gatunki ryb, — słowem napotkalibyśmy tam glebę zarysy powierzchni ziemi, florę i faunę, nie ustępującą pod wieloma względami europejskim. A ludzie? — i ci nie byliby tak czarni, jak ich zwykle przedstawiają, owszem wybieleliby oni przy bezstronnem porównaniu z ludnością wiejską Europy, bo dodatnie przymioty Sybiraków, jak czystość, którą utrzymać umieją około siebie i w swych pomieszkaniach, gościnność, współczucie dla nieszczęść bliźnich, a do tego brak serwilizmu poddańczego i fanatyzmu religijnego, stawia ich wysoko a nieraz nawet i po nad zwykły poziom moralny włościan europejskich.

Świat syberyjski i ludzie Syberji zasłużyli na to, ażeby poznać ich bliżej. Ci ostatni noszą w sobie zarodek marzonego tylko dotąd przez nich jeszcze pragnienia czynności dziejowej, która jednak wykwitnąć tylko może na gruzach murów więziennych, które dzisiaj ich zewsząd otaczają. Syberja i Sybiracy mają to do siebie, że w każdym prawie z obcych, czasowo przebywających, wzbudzić potrafią uczucia sympatji, które trwają dłużej, niż sam pobyt ich w tym kraju.

Najpiękniejszą atoli i najbardziej ujmującą częścią Syberji jest, według mego zdania, wschodnia jej połowa, a to poczynając już od Jeniesieja, który stanowi ważną granicę dla fauny i flory. Drugą taką granicę napotykamy w okolicach gór Bajkalskich, i odtąd w kierunku na wschód rozpoczyna się szereg krajobrazów, odznaczających się, już to pięknością i malowniczością samego pejzażu, już to imponującym majestatem ich wielkości i ogromu.

W dwukrotnie odbytej przezemnie podróży przez całą Rossję europejską, w kierunku do Syberji, szlakiem na Moskwę, Nowgorod dolny (Niżnienowgorod) Kazań, Permę, Ekaterynburg, a w dalszym ciągu tej drogi, przez Syberję zachodnią, więc Tiumień, Tomsk, następnie przez zachodnią część Syberji wschodniej, przez Krasnojarsk, Udinsk dolny (Niżnieudińsk), aż do samego Irkucka, napotkałem mniej okolic pięknych i godnych widzenia i podziwu, aniželim ich poznał na wschód od Irkucka, jadąc drogą, wiodącą ku oceanowi wielkiemu, który nosi niezasłużone przezeń wcale miano, oceanu spokojnego.

Bajkał z pięknemi dolinami Sielengi, Angary, Irkuta, Daurja z rzekami Jngodą, Ononem i Argunią. Doliny rzek: Szyłki, Amuru, Zei, Ussuri — to są okolice, które zachwycić potrafią, tak dobrze pejzażystów, jak i przyrodników.

Wraz z pięknością miejsca, oryginalnością flory i fauny uderzają zwiedzających wschodnią Syberję i odrębne, sympatyczne cechy jej mieszkańców. Już nie mówię o plemionach tubylczych, jak: Burjatach, Karagazach, Tunguzach, Oroczonach, Gilakach, Manżurach, Korejczykach, Ajnach, Kurylczykach, Aleutach, Kamczadalach, Korjakach, Łomutach etc., lecz nawet i miejscowa ludność, pochodzenia europejskiego, stanowi typ odmienny od pobratymców swoich, zachodnio-syberyjskich.

Akademik petersburski, Middendorff, który osobiście zwiedził Syberję wschodnią i zachodnią, wypowiedział zdanie, że każde 1000 wiorst, przebyte w kierunku na wschód, przenosi podróżnika o 100 lat wstecz. Powiedzenie to jest poniekąd słuszne, bo im dalej się posuwamy ku wschodowi, tem więcej oznak cywilizacji zachodniej nas opuszcza, aż daleko na krańcach lądu azjatyckiego, na wybrzeżach morza Berynga i morza Manżurskiego, zdawać się będzie podróżnikowi, że dotąd jeszcze żyją tam ludzie tak, jak n. p. żyli nasi przodkowie w dziesiątem stuleciu niniejszej ery historycznej.

Daleko na wschodzie napotkać jeszcze można „ludzi natury“, z tem piętnem dziecięcej naiwności, która tak każdego ku sobie pociąga, że tym ludziom chętnie się wybacza brak tresury cywilizacyjnej, a w wielu wypadkach im się zazdrości nawet, że nie zaznali dotąd skutków tej cywilizacji. To też nie można się dziwić Prof. Ermann'owi, że w pamiętnikach swoich, kreślonych podczas pobytu na Kamczatce, powiada, iż były chwile w życiu jego, gdy pragnął, ażeby o nim zapomniano w Europie, by mógł wtedy na łonie dziewiczej natury kamczackiej, w otoczeniu uczciwych tubylców, spędzić resztę swojego żywota.

Wśród różnych ludów Syberji wschodniej, w jej miejscowościach rozmaitych przeżyliśmy lat kilkanaście, i jakkolwiek pragnienia Ermanowskie, nie były ani na chwilę naszemi, wszelako przymioty dodatnie mieszkańców, spokój, rozlany w przyrodzie tamtejszej, mało albo wcale nie zmienionej kulturą, przytem brak walki zwierzęcej wśród warstw społecznych, wytwarzającej niepokój i rozgoryczenie, tak przykre dzisiaj w Europie, kazały nam nieraz zazdrościć tym wiekom, i tym ludom, które nie znały, i nie znają błogosławieństwa cywilizacji nowoczesnej, depczącej z cynizmem egoistycznym zasady miłości braterskiej ludów i sprawiedliwości powszechnej, nadto niszczącej gwoli tylko zaspakajania żądz niskich i poziomych, osłanianych dla pozoru, wspaniałą draperją wymogów rzekomych polityki państwowej — miljony rodzin i setki ludów i plemion.

Głęboko wyryły się w pamięci naszej i kraje i ludzie, którycheśmy tam poznali na wschodzie dalekim, a gościnność, uprzejmość, współczucie dla nieszczęść naszych i kraju naszego, któreśmy nieoczekiwanie znaleźli, zyskały wdzięczne dla siebie miejsce w sercach naszych. Wywołując dzisiaj te obrazy przeszłości, pragnąłbym przelać w serca czytelników uczucia szczerej sympatji, jaką powziąłem do przyrody i do ludów tamtejszych, które również, jak i my, niosą brzemię ciężkiej niedoli, tem smutniejszej atoli od naszej, że w ich duszy zagasła nadzieja lepszej przyszłości.

Opowiadanie moje o Syberji i Kamczatce oblekam w formę luźnych szkiców, którym nadaję nazwę: *Obrazków ze wschodniej Syberji i Kamczatki.* *(C. d. n.)*

CYRANO DE BERGERAC

EDMUNDA ROSTAND.

Kiedy sztuka ta ukazała się na scenie teatrów francuskich, wzbudzając niezwykły entuzjazm, kiedy później, ujęta w książkę, obiegać zaczęła księgarnie Europy, powstały zewsząd okrzyki: oto coś nowego, coś zupełnie nowego, coś zupełnie świeżego, zaleciał skądś jakiś orzeźwiający przewiew — odmładzający, budzący z długich omdleń narkotycznych woni symbolizmu.

I nam, przywykłym do nurtowania najskrytszych tajników duszy, do wyciągania na światło dzienne wszystkich bolów bez nazwy, które zapoznane, gdzieś na dnie w nieznanej kryły się głębi, gdyśmy się już wsłuchali i rozlubowali w misterjach tych tęsknot, które nas porywają za czemś nieuchwytnem, nieznanem, przyjść skądś mającem nam, zmęczonym dzisiejszemi warunkami istnienia, nurtowanym tem gryzącem niezadowoleniem życia, zatruwającem wszelką słodycz bytu — jakże nam, chorym dzieciom gasnącego stulecia, wydał się wspaniałym ten heroiczny poemat Rostanda, gdzie tyle świetnej brawury, tyle żywych czynów ramienia i serca, taki wysoki nastrój czystych, jasnych, prostych przekonań, błyskami szczerego złota i rubinów przed oczyma naszemi się rozwinął.

Wyrwani nagle tem świetnem zjawiskiem z melancholijnego pogrążenia się w bolesne szmery naszych wątpiących dusz, podnieśliśmy głowy i zawołali okrzykiem zachwytu: nowe, nieznane, olśniewające!

A jednak nie nowe i nie nieznane. Odbiegliśmy tylko zbyt daleko od owych chwil młodzieńczej doby Europy, kiedy brzmiały pieśni o rycerzu Żelaznej ręki, Parcivalu, Moira-Borb, kiedy Calderon i Lope de Vega dawali swoje heroiczne dramata i komedje, brzmiące chrzęstem zbroi i pieśnią rycerskich cnót. Poeta przypomniał nam tylko, że i dawne rzeczy były piękne, że i pojęcia dawnych wieków miały swoje szczyty — nieraz śmielsze i wzlotniejsze od dzisiejszych.



E. Rostand.

Postać Cyrana de Bergerac, jak wiadomo, nie jest zmyśloną; autor, — jak to wnosić można nietylko z dedykacji, — dał się unieść wspomnieniem pięknej duszy poety, rycerza, tak niepodobnej do pieśniarzy dzisiejszych lat; przekonał nas raz jeszcze, że wielkie prawdy nie maleją z biegiem czasu, usunął ów smutny wniosek, że nowego, iście nowego, prawdopodobnie człowiek nie jest w stanie stworzyć, że jak w badaniu przyrody, tak i w sferze ducha ma tylko pewne, ściśle określone środki do rozporządzenia.

Nietylko wszakże świeżym tematem, lecz i obrazem szlachetnych uczuć porwał nas Edmund Rostand. — Jego Bergerac jaśnieje pod tym względem jak perła najczystszej wody. Łączy w sobie szlachetność dawnego rycerza z wzniosłem sercem poety. — Jest to przedewszystkiem pogromca zła, nieubłagany wróg wszystkiego, co niskie, co się płaszczy, co żyje pochlebstwem i kłamstwem, co goniąc za wywyższeniem się i dobrobytem, wywleka na przedaż własne swoje przekonania. Taka walka jedna mu naturalnie zastępy nieprzyjaciół, ale Cyrano dworuje z nich wszystkich i nawet wyznaje, że „niepodobać się jest mu przyjemnością; lubię, gdy mnie nienawidzą; Nienawiść jest pręgierzem, lecz również jest i aureolą“. Najlepszem określnikiem jego duszy, są własne jego słowa, wypowiedziane do przyjaciela:

Więc cóż robić muszę?.....
Mam piąć się, zamiast siłą, drogami fortelu?
Nie! dzięki! Mam w swych wierszach, jak to czyni [wielu,
wysławiać dobroć paniąt, uwielbiać bankiery,
błaznować, aby uśmiech — do tego nie szczery —
Zobaczyć na obliczu ministra? Nie, dzięki!
Ropuchy codzień łykać? być jak glista miękki?
Na chórze na kolanach wyczołgiwać sińce?
Ćwiczyć się w gięciu krzyży i wyprawiać młyńce?
Nie! dzięki!.....
.....Lecz w swobodzie dzikiej
bujać, marzyć, ustroni zażywać samotnej,
posiadać głos donośny, wzrok jasny i lotny,

na bakier kłaść kapelusz, serce mieć najszczersze,
dla „tak“ lub „nie“ jednego bić się lub snuć wiersze:
nie bacząc, czy tam sława i szczęście posłużą,
pracować nad wyśnioną na księżyc podróżą!
Nie pisać nic takiego, coby nie płynęło
z tej duszy, potem patrząc na swe własne dzieło,
powiedzieć sobie skromnie! więc miejże ty, chłystku,
zadowolenie w kwiecie, owocu, ba! w listku —
to wszystko pozrywałeś w swym ogrodzie własnym!“
A potem, jeślić kiedy, w jakimś dzionku jasnym
tryumfu odrobinę zyskać się poszczęści,
pamiętaj nie być dłużnym Cezarowej części
nikomu, ale zawsze obstawaj przy swojem!
Ot mówiąc jednem słowem. Nie chcąc być powojem,
chociaż dębem nie jesteś, ani też topolą,
Nie pójdziesz zbyt wysoko, lecz sam własną wolą…

Po za tym wewnętrznym obrazem duszy, zewnętrznie wykazuje się jako nieustraszonej odwagi rębacz, pełen brawury i fantazji zawadjak, któremu wchodzić w drogę nie nazbyt jest bezpiecznie. Czy to na wojnie, czy w pokoju, czy to książę, czy aktor na scenie, czy stu zasadzonych zbirów, nic mu nie ważne, przed niczem się nie ugnie; niema dla niego niebezpieczeństw, niema granic dla jego woli.

Ten rycerz nieustraszonej ręki i wielkiego serca ma wszakże pewną niedokładność, która czyni go niekiedy bezsilnym i nieszczęśliwym. Oto jest bardzo szpetnym, a do szpetoty tej przyczynia się głównie nos, olbrzymi nos, o którym sam powiada, że „wszędzie go o kwadrans wyprzedza“ i pozbawia go cienia nadziei, aby znalazła się kiedy jaka niewiasta, którąby w stanie była go pokochać. A wszakże płomienne serce rycerza-poety kryje w swych bogatych głębiach najgorętsze uczucia dla najpiękniejszej z paryskich précieuses, uroczej Roksany.

Wielkie to serce i potężny nos stają się osnową całej sztuki, której z powodu zapewne tej niepospolitej kombinacji autor miano heroicznej komedji nadaje.

Na takiej skromnej podstawie rozwija się szereg wspaniałych epizodów, a są one tak różnorodne, tak mieniące się grą najszlachetniejszych kamieni, iż przyćmiewają niemal samą treść komedji. Szeroko pomyślanym jest już akt pierwszy, odegrywający się w teatrze Bourgogne, kiedy Bergerac zmusza ulubionego przez publiczność aktora, aby cofnął się ze sceny, bo ma do niego urazę i zabronił mu występować; i aktor wobec napełnionego po brzegi teatru musi ustąpić. Wywiązuje się z tego pojedynek z jakimś wysoko postawionym urzędnikiem, i Bergerac przy ślicznej zaimprowizowanej balladzie, którą bijąc się wygłasza, pokonywa go, wiążąc ciosy z rymami w sposób nader wdzięczny. Zapalony oklaskami Roksany, porywa się jeden na stu zbirów, zasadzonych na jego przyjaciela przez świetnego księcia de Guiche, krewniaka samego Richelieu. Entuzjazm w teatrze jest nieopisany; cały parter porywa się i wraz z aktorkami, przybranemi jeszcze w maski i kostiumy, wyrusza z pochodniami w ręku olbrzymim orszakiem za nieustraszonym rycerzem, aby podziwiać nowy jego trumf.

W następnym akcie widzimy go w paszteciarni Raqueneau, gdzie jest rendez-vous wszystkich artystów i poetów, jak po odniesionem zwycięstwie oczekuje, pełen niepokoju, przybycia Roksany, która mu tu schadzkę wyznaczyła. W głębi jego duszy, rozdmuchnięta przez przyjaciela, budzi się iskierka nadziei, że może ta nieczuła piękność dała się unieść brawurą jego zwycięstw wczorajszych. Biedny zwycięzca! Roksana przybywa, ale aby mu wyznać, iż przedmiotem jej efektów jest nowozaciężny kadet gaskoński, piękny Chrystjan. Do Cyrana, kuzyna i towarzysza zabaw dziecinnych zwraca, się piękna précieusa z prośbą, aby wziął w opiekę młodzieńca i zasłaniał przed zuchwałością wszystkich kadetów, którzy mają zwyczaj sprawiać krwawe przyjęcie nowo przybywającym do pułku. Okazuje się, iż niezgięty Cyrano umie kochać zarówno wiernie, jak bezinteresownie. Po chwili bolesnego rozczarowania, które starannie przed Roksaną ukrywa, przyrzeka spełnić jej żądanie. Odchodzi spokojna, bo słowo jego jest świętem. Odtąd rozpoczyna się najheroiczniejsza walka, jaką kiedy staczał zwycięski rycerz, walka z własnem sercem. Dla szczęśliwego rywala staje się bratem; w imię miłości dla Roksany przebacza mu wyrządzone zniewagi; a pomnąc na słowa ukochanej, iż umarłaby, gdyby kochać nie mogła Chrystjana, poświęcenie swoje doprowadza do tego szczytu, iż pożycza mu niejako własnej swojej duszy. Chrystjan bowiem, o ile jest pięknym, o tyle nader mały ma dowcip. „Nie umiem mówić z kobietami,“ sam wyznaje. Bergerac zatem zastępuje go zawsze w takich razach, czy to w mowie, czy w piśmie, a czyni to tak zręcznie, iż Roksana nie domyśla się wcale podstępu.

W czasie wojny, w obozie pod Arras, pisze do niej tak piękne, tak czułe listy, iż znęcona niemi kochanka przybywa do obozu, mijając najgroźniejsze niebezpieczeństwa i warty nieprzyjacielskie. A niema może nic bardziej piękngo w całej sztuce, jak ten obóz pod Arras, gdzie zdradą usidleni Gaskońscy kadeci, ci zuch w zucha niezwyciężeni rębacze i śmiałki, dziś zgłodniali, beznadziejni, klną każdą chwilę swego istnienia, gotowi lada podmuch porwać się na jakiś czyn straszny. Ale dzielny ich kapitan ma na chwile takiej rozpaczy pewne zaklęcie, które ich niby czarem ucisza. Zaklęciem tem jest żart, dowcip, satyra lub brawura towarzysza ich broni, najmężniejszego z kadetów, Bergeraca. A gdy i te nie pomagają, wówczas występuje Bergerac-poeta i w tkliwej pieśni ze stron rodzinnych rozczula

zbuntowane dusze żołnierskie i zamiast przekleństwa na ustach, wywołuje im na rzęsy łzę. Czytając te wymówne sceny zrozpaczonego, znędzniałego rycerstwa, staje w pamięci inny obóz innem piórem skreślony, zbarazki — Sienkiewicza; tylko tu bardziej pusto; tu brak tej gwiazdy, która tam świeciła, imienia ojczyzny.

Czarującą jest także Roksana, gdy wpada do obozu, wesoła, odważna, lekka, gotowa ze śmiechem na ustach zginąć obok ukochanego.

Akt piąty, a z nim rozwiązanie komedji rozegrywa się w piętnaście lat później. Chrystjan zabity pod Arras; Roksana, nie przyjmując ślubów zakonnych, zamieszkała w klasztorze. Jak złote liście jesienne, zasypujące ogród klasztorny, tak pełna rzewnej słodyczy melancholja owiewa te ostatnie sceny pod drzewami klasztornego ogrodu. W oczekiwaniu swego przyjaciela, Cyrana, który ją niezmiennie co sobota od lat 15 odwiedza, Roksana łagodnie żartuje z siostrami, nie spodziewając się, że chociaż wkrótce ujrzy Bergeraca, lecz jedynie na krótką chwilę i po raz ostatni. Tak, nie w boju, „nie ostrzem szpady w pierś odkrytą“, jak życzył sobie zawsze, przyjął cios ostatni; znienacka, ręka tchórza, złoczyńcy ugodziła go z zasadzki dachówką w głowę. Przyszedł pożegnać ją. W uśmiechu, z żartem na ustach śmierć go zastaje. Lecz nie! nie w krześle, nie z głową niedołężnie spuszczoną, przyjmie wyzwanie tego ostatniego nieprzyjaciela. Podnosi się, staje, wspiera się o drzewo, obnaża szpadę i czeka. I nagle rozpoczyna pojedynek. Otaczają go widma jego najzaciętszych przez całe życie nieprzyjaciół, a jest ich tysiące! Oto Kłamstwa, oto Kompromisy, oto Przesądy, oto Nikczemność! Tnie na prawo, na lewo, wściekle, do ostatka. „Ach, oto i ty, Głupoto! Wiem, że ty ostatnia, ty mnie zwyciężysz. Niech tam! Ja się biję, biję, biję!“ — A gdy zwyciężony śmiercią, słania się i pada, szepce chylącej się nad nim w pocałunku Roksanie: „Chociaż te widma odebrały mi wszystko, — i laury, i róże,“ zostaje jeszcze coś, co z sobą poniesie do Boga, czem dziś szeroko niebieski próg zamiecie, coś, bez plamki, bez skazy, co z sobą nierozłącznie uniesie, — swój rycerski pióropusz.

Na tem się kończy heroiczna komedja Rostanda, zostawiając w duszy czytelnika wstrząsające wrażenie i długo niezapomniane. Przesunął się nam przed oczyma jakiś obłok jasny, pierś nam szerokim odetchnęła oddechem. Wzrok nasz napawał się przez chwilę różnorodnemi obrazami, pełnemi świetnych barw i blasku.

A jednak — gdzieś tam u dołu, dźwięczy jakaś nuta zgrzytliwa, co nam słuch drażni i męczy, i gdy się zastanowimy silniej, słyszymy ją coraz dokuczliwszą, coraz niesmaczniejszą.

Rostand, stwarzając swego bohatera, tego „bez strachu i bojaźni“ rycerza z siedemnastego stulecia, zaszczepił mu pewien zaczyn, że się tak wyrażę, dzisiejszego człowieka. Występuje to oczywiście w głównem uczuciu jego rycerskiego serca, w miłości do Roksany. Nie spotykamy się tu, jakby się tego spodziewało, z romantycznością owego czasu, z czułością, zemstą, czy nienawiścią lub z Petrarkową ekstazą uwielbienia — w uczuciu Cyrana przegląda twarz dzisiejszego człowieka, tak wysubtelniona, tak ofiarnicza, że aż przestępuje możebną miarę ofiarności. W zapędzie swojego poświęcenia popełnia kardynalne niedorzeczności, i nierozumując zgoła, gotów jest sprowadzić nieszczęście na głowę swojej ukochanej, byle tylko uczynić zadość jej chwilowemu porywowi. W tem pojęciu wielkiego uczucia tkwi dziwna niekonsekwencja, jakieś przeczulenie dzisiejszych dusz, mglistość pozbawiona zdrowego sądu i rozdźwięk tak bijący, iż ten piękny, śmiały rycerz Prawdy staje się niemal śmiesznym. Ktoś zauważył, iż naogół bohater Rostanda stoi ciągle na szczycie granicznym sławy i śmieszności. Czytelnik musi drzeć o niego co chwila, aby nie przekroczył tego szczytu i nie zsunął się w dół po śliskiej pochyłości ośmieszenia się. Sądzę wszakże, że jedynie w uczuciu do Roksany jest w takiem położeniu i niestety, nadchodzi chwila, w której szczyt ów graniczny został przekroczony. Cyrano, kochając bez nadziei, a przytem zupełnie bezinteresownie, nie waha się ułatwić drogi — więcej — wysilić całej swojej możności, aby popchnąć kochanka Roksany do pierwszej schadzki, do pierwszego pocałunku. — Co prawda, ów krok szalonego całopalenia — odtworzony jest znakomicie i usprawiedliwiony niemal przez autora. Ta scena pod balkonem Roksany, kiedy za Chrystjana przemawia Cyrano, była chwilą dla biedaka jedyną, jak mawiał, w całem życiu, kiedy mógł, nie będąc poznanym, wyrzucić wszystek ból i wszystką miłość, jaka rozsadzała mu pierś. Przeżył tę chwilę, aby się nią upoić; a potem z wściekłością okrutnej rozpaczy pchnął rywala w objęcia ukochanej, płacąc tym czynem chwilę własnego upojenia.

Czytelnik wszakże, czy widz w teatrze, nie może pozbyć się przykrego wrażenia, jakie ta scena, mimo swej pozornej szczytności wywołuje. Wszakże ten szlachetny rycerz serca, ten storturowany w najświętszem uczuciu człowiek, popełnia poprostu straszne głupstwo, narzucając kochance człowieka, w którym ona, właśnie przed chwilą i on o tem wie, — rozczarowała się zupełnie, od którego nawet uciekła ze wstrętem. Była to chwila, kiedy Chrystjan puścił się na własną rękę szukać sukcesów u Roksany, zrzekając się ustawicznej opieki Bergeraca.

Przypominają się tu wszystkie literackie baśni najnowszych czasów, gdzie autorowie stawiając szczytny obraz poświęcenia, przeprowadzają zasadę, niezaprzeczenie słuszną, usuwania się z drogi kochanym a niewiernym istotom, a po za tem jeszcze każą spełniać toasty na pomyślność nowo łączącej się pary. Ta jakaś lilijna czułość dusz piętnastoletnich, dziwnie odbija od gorącej, rozumnej, pełnej zdrowego sądu postaci Bergeraca.

Obok świetnych zalet Cyranowej duszy ten dysonans przeszedłby może niepostrzeżenie i czytelnik z pobłażliwym uśmiechem darowałby bohaterowi ową wdzięczną niedorzeczność — ale niestety, autor na tym właśnie dyssonansie usnuł cały wątek tragedji i przypomina się on co chwila, i zapomnieć się nie da, aż do ostatniej chwili, aż do ostatniego pocałunku, którym kochana mówi umierającemu Bergeracowi, iż jego duszę kochała.

Takie przeciągnięcie nuty, co aż z dźwięcznej staje się wrzaskliwą, przypomina aż nadto modernistyczność samego autora. Jest to owo lubowanie się w chaotycznych, połamanych, jaskrawych dźwiękach i linjach, co siląc się stać wiernym obrazem, robią się niedorzecznością. Pomimo całej pysznej piękności Bergeraca, jakże mu daleko do prostej, naiwnej, zawsze zapatrzonej w gwiazdy duszy Don Kichota, tak skończonej w sobie, nigdy nie potrąconej żadnym fałszem. Ale w Bergeracu z Don Kichota niema zgoła nic, skądże więc ten poryw, godny nieśmiertelnego rycerza z Lamanszy? Coby u tamtego było chwałą, tu staje się plamą, tą łamaną linją modernisty, co w proste i szczere lubi wstawiać zagadkowe kropki.

I zamykając książkę z tem uczuciem zachwytu, o jakiem mówiło się wyżej, uczuwamy jednocześnie jakąś cierpkość w ustach, jakieś męczące niezadowolenie — z bohatera? z autora? — czy z tej naszej dziwnej doby dzisiejszej, pełnej zygzakowych myśli i uczuć, w której niema miejsca dla rzeczy jasnych i pełnych?

W. Dalecka.

4)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

Salka.

Tak mówią...
A inni mówią, że nigdy Janosik
nie zszedł do dołu czarnego, że wtedy,
gdy go chwytali orawscy husarze,
tak on w swej mocy dał im tylko pozór
swojej postaci i tę powieszono.
On sam, żyw dalej, wspiął się na wysoką,
śnieżystą górę i tu się tak zaśmiał
ze swoich wrogów, że od tego śmiechu
czuby wirchowe leciały w potoki,
że woda w stawach słupem trysła w niebo
i potem z hukiem spadła w swe łożysko,
że całe bory legły z korzeniami
wyrwane z ziemi, a owce po halach
tak się ze strachu zgarnęły w gromadę,
jak jeden wielki kłąb szarawej wełny —
chciały w kolibach skryć się i szałasach,
ale szałasy zmiótł ten śmiech, jak kupę
zeschłych gałęzi albo puch mleczowy...
Takem słyszała, że się gęste chmury,
jak czarna smoła, rozlały po niebie,
że śmiech się z niemi starł i, jak z olbrzymich
jakichś krzemieni, sypnęły się iskry...
I zadudniły grzmoty i pioruny
poczęły walić w granity i skały
szarpać na strzępy... Słyszałam, że tutaj,
w tych waszych Tatrach, są dwie straszne turnie,
które się zowią Szatanem i Basztą —
turnie, zębate jak piekielne widły:
ryk Janosika tak je zdarł, że śmiały
urągać jego potędze...

Czepiec.

Słysz, babo!
Powiedz, kim jesteś... Nigdym się nie strachał,
a teper słucham, co mówisz i skóra
drży na mem ciele...

Salka.

Nie drżyj, Czepcze-trzmielu!
Trzeba-ć odwagi... Mam tu list do ciebie —
od pułkownika, co cię oswobodził
z pod szubienicy, żeś ino powąchał
trochę siareczki... Masz go...

(Podaje mu list, wydobyty z zanadrza.)

Jakeś przysiągł,
tak też uczynisz... Lichy to jest junak,
który się trwoży na wieść o harnasiu,
o Janosiku... Pytasz się, kim jestem?
Hahahahaha! *(śmieje się)* To jedno ci powiem:
Każdy na świecie ma swe przeznaczenie...

Hanusia

(zamyślona).

Mówią: nie umarł?!

Salka.

Nie umarł, a tylko
za krwi niewinnej przelanie ten rycerz
taką pokutę przyjął na swą duszę,
że szablę zaciął w jawor, a strzelbicę
między dwa głazy schował popod turnię,
mówiąc: poczekaj, ty szabliczko moja,
poczekaj, strzelbo, aż ja w lepszej chwili
przyjdę po ciebie, kiedy w naszych górach
i na Podhalu lud nasz nie wytrzyma
od wielkiej biedy... I szedł między naród,
bacował gazdom długie, długie lata,
robił żentycę, woził ser do miasta
albo też woły poganiał na targi,
a nadsłuchiwał wszędzie, a poglądał,
czyli się z chłopskich pleców krew nie leje
i z czego robią starościńskie baty
i jak ściągają czynsze i szarwarki...
I tak poglądał długie, długie lata,
aż mu się w duszy skończyła cierpliwość,
i mówił sobie: dosyć już pokuty!
i po szablicę poszedł i po strzelbę
i z harnasiami ganiał do Orawy,
a teraz w Polsce w jasnej świeci łunie!...
Mówią, niedawno siedział w Chochołowie,
w Czarnym Dunajcu także biesiadował —

(znacząco patrząc na Czepca)

a przed miesiącem był i w Nowym Targu.

Czepiec.

Babo!

Salka.

Co, Czepiec? *(do Hanusi)* A widzisz, [Hanusiu,
temi oczyma patrzałam na niego:
jak on wygląda z białem, gładkiem licem!
jak mu się błyszczą miękkie, czarne włosy,
jak mu się palą błękitne źrenice...
Co ci się stało?

Hanusia

(z niepokojem).

Nie wiem... Tak mi w duszy,
kiejby przedemną stanął w tej świetlicy
szumny Janosik i chciał mnie zabijać...
Tak mi jest w duszy, jak kiejby nieszczęście
było w tej izbie i ja pochwyciła
ono nieszczęście za rękę, za ramię, —
nito człowieka, za szyję!... O Boże!
i jakaś radość w duszy mi się zrywa...

Salka (lekceważąco).

Każdy ma swoje przeznaczenie.

Czepiec.

Babo!
Uroki rzucasz na *moją* dziewczynę!
Ten twój Janosik... niech go piekło...

Salka

(patrząc w oczy Czepcowi, jakby go chciała zahipnotyzować.)

Czepiec!
Cicho! przysiągłeś!...

(Do Hanusi, w tonie, udającym obojętność.)

Hanuś! podaj rękę —
jeszczem ci wcale nie wróżyła...

Hanusia

(podaje machinalnie rękę).

Salka

(przyglądając się dłoni).

Idzie...
idzie... do okna... puka... puść, dziewczyno!
Ciemne włosy, liczko blade...
Idzie... idzie... czy na zdradę?
Jako smerek w halnym lesie,
tak on niesie
szumnie, dumnie
głowę swoją...

(Patrząc jej w oczy).

Hanuś! odpowiedz: czy patrzałaś kiedy
w błękitne oczy? czy gładziłaś kiedy
bieluchne liczko i czarniutkie włosy?
miękkie, błyszczące?...

(Wróży dalej, śledząc linje na dłoni)

Ta kreseczka,
co tak przecina tę drugą?... Śmierć... Boże!
To być nie może!...

(Wróży dalej)

Idzie... idzie... już się tuli...
jest śpiewanie: luli! luli!
radość... szczęście...
i zamęście?...
Nie!... śmierć i zdrada?... Nie! coś się nie klei
dzisiejsza wróżba...

Hanusia

(odciąga rękę).

Dajcie spokój!... patrzcie,
bardzo się boję... Jeszcze ja w tem życiu
takiego lęku nie miewałam...

Salka.

Hanuś!
Każdy ma swoje przeznaczenie... Czekaj.

Próba, jest próba... Nie zawsze się wiedzie.
Spotkałam dzisiaj w drodze psa czarnego,
który miał w ślepiach ogień... Myślę sobie:
Nie bardzo dobra to wróżba, bo, widzisz,
łeb swój odwrócił i choć go wołałam:
brachu: tu do mnie, do swej lubieśnicy, —
zakręcił tylko ogonem i uciekł...

Czepiec

(który przez cały ten czas, wtuliwszy się w kąt izby, śledził, jak zahipnotyzowany, postępowanie Salki z Hanusią, jakby do siebie:)

Bude neszczastje.

Salka.

(odwracając się nagle ku niemu).

Ano spluń!

(Do Hanki, biorąc ją znowu za rękę:)

Poczekaj:

(wróży dalej:)

Łuna świeci,
krew się leje,
a w zamieci,
a w zawieję
junak leci...
Złoto, srebro, aksamity,
a na hełmie białe kity...
A tu na szyi... krew?... czerwone znamię,
jakby od miecza!... Wróżba dzisiaj kłamie...

(Patrząc jej w oczy).

Hanuś! na dłoni junak ci tu stoji,
niby królewski pułkownik!... E! głupia
dzisiejsza wróżba... Przyniosłam Czepcowi
od pułkownika królewskiego listy,
tak on mi w głowie i wróżbie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jan Kasprowicz.

Z pism i książek.

Pierwszy i — powiedzmy nawiasem — znakomicie ułożony numer *Życia*, przekształconego na dwutygodnik, podaje w dziale poezji utwór, który nietylko dzięki zaletom swym poetyckim zwraca uwagę. Utworem owym jest wiersz, napisany viribus unitis przez dwóch braci — poetów na cześć ojca — poety, — jubilata. Brzmi on, jak następuje:

Karolowi Brzozowskiemu

synowie: Stanisław i Wincenty.

Nowych światów odkrywcy, niespokojni gońce,
ścigający swym wzrokiem Hesperyd ogrody,
zwińcie żagle już wzdęte! Na niepewne wody, —
— o żeglarze, — wstrzymajcie korabie płynące.

Błogosławić tu przyszedł waszej drogi końce
boski starzec, Ulisses i Syndbad. — Zachody,
wschody, północ, południe, lądy i narody
wszystkie widział, i poznał, na co patrzy słońce.

Chodźcie; w sercu pomieścił, jak w cedrowej skrzyni, —
Drogie skarby mądrości, (żywe i śmiertelne)
— z lichym mówił robakiem i z Bogiem w pustyni.

Chodźcie zaczerpnąć słodycz z prac jego stulecia, —
albowiem jego myśli, złote roje pszczelne,
zebrały dla was miody z wszelkich ziół i kwiecia.

K. Seignobos. Dzieje polityczne Europy współczesnej (1814—1896).

Rozgłośnego dzieła Seignobos'a, którego przekład polski wydaje warszawski tygodnik „Głos", opuścił prasę zeszyt 1-szy.

Autor kreśli w rozdziale 1-szym zburzenie politycznego układu Europy, zaprowadzonego przez Napoleona i daje rys urządzenia krajów europejskich po roku 1815. W rozdziale 2-gim Seignobos przechodzi do historji Anglji, jako kraju, który pierwszy w Europie ustrój konstytucyjny posiadł. Autor zaczyna od obrazu dawnego porządku rzeczy (z przed r. 1832-go), przechodząc kolejno rząd centralny, władze miejscowe, porządek wyborczy, organizację kościoła, układ społeczeństwa i położenie Irlandji. Przechodząc do epoki reform, częściowe reformy polityczne i wyzwolenie katolików i wreszcie reformę wyborczą z r. 1832. Rozdział 3-ci poświęcony jest dziejom Anglji w okresie między dwiema reformami politycznemi z r 1832-go i 1867-go. Wśród nowych warunków życia politycznego, stworzonych przez reformę r. 1832-go dojrzały reformy administracyjne, rozwinęła się agitacja robotnicza tradeunionów, powstał czartyzm. Agitacja irlandzka postawiła na porządku dziennym sprawę irlandzką i sprowadziła w Irlandji przesilenie. W sferze ekonomicznej wzięły górę tendencje wolno-handlowe i powstało prawodawstwo fabryczne. Owocem ewolucji demokratycznej, która cechuje cały ten okres, była reforma wyborcza z r. 1867. Rozdział 4-ty obejmuje okres już prawie spółczesny. Dzieje Anglji demokratycznej, warunki jej życia politycznego, prawodawstwo trade-unionów, politykę imperjalistyczną, kwestję Irlandzką i próby jej rozwiązania, rozprzężenie partji liberalnej, rozwój unionistów, tworzenie się stronnictw socjalistycznych i w końcu ogólny rzut oka na rozwój Anglji w wieku XIX-tym. W rozdziale 5-tym przechodzi autor do historji Francji, zaczynając od restauracji Burbonów, kreśląc dzieje „stu dni" i drugiej restauracji, przesileń kontrrewolucyjnych, rządów stronnictwa konstytucyjnego (1816—1820), rządów prawicy rewolucji 1830-go r. monarchji Ludwika-Filipa, walk stronnictw, utworzenia się partji socjalistycznych i komunistycznych, walk parlamentarnych w okresie od 1836 do 1840, ministerjum Guizot'a i zjednoczenia się stronnictw opozycyjnych. W rozdziale 6-tym przechodzi Seignobos do rewolucji z r. 1848., opisuje rolę, jaką odegrała ówczesna konstytuanta, rządy stronnictw monarchicznych. Następnie idą dzieje powstania cesarstwa, jego rozwój, ustępstwa liberalne, narodziny stronnictwa radykalnego i początku wojny francusko-pruskiej.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.